

Przewodnik Katolicki

Ilustrowany tygodnik
dla rodzin katolickich

Redaktor założyciel

X. Józef Kłos,

redaktor nacz.

X. Fr. Forecki

Wspomożenie
wiernych — módl
się za nami!

Na uroczystość Matki
Boskiej Wspomożenia
Wiernych
(24 maja)

Na dzień 24 maja
przypada uroczystość
kościelna Najświętszej
Marji Panny Wspomożenia
Wiernych.

Pod krzyżem Syna,
w królewskim płaszczu
i koronie, w świetlanym
otoku z napisem: Sancta
Maria, Mater Salva-
toris — Święta Marja —
Matka Odkupiciela —
stoi Najświętsza Panna
i dłonie pełne łaski wy-
ciąga na pielgrzymujące
do Niej ze sztandarami
i cisnące się do Jej
stóp rzesze z darami,
jak ten starzec ze szka-
łką, lub z pustymi
dłońmi ale z pełnym ser-
cem. Mężczyźni i nie-
wiasty, starzy i młodzi
dachowni i świeccy ku
Niej zwracają oczy, bla-
gając: Wspomożenie
wiernych — módl się
za nami.

Bo jak Syn Jej jest
pośrednikiem między
Ojcem Przedwiecznym
a nami, tak Najświętsza
Panna jest pośredniczką
między nami a Synem.
Dlatego artysta-malarz
umieścił Ją na swoim
obrazie na tle Krzyża,
na którym dokonano
się Zbawienie.

Cóż dziwnego że do
Niej wołamy o wspo-
możenie my, wygnańcy
Ewy na tym padole
płaczu! Do Niej podno-
simy głos błagalny:
Serdeczna Matko, Opie-
kunko ludzi! — Dla
Twego serca wszystko
Bóg uczyni. — Ratuj nas,
ratuj, — Matko ukocha-
na! — Ty, coś karmiła
świata Zbawienie I nam
jak Matka daj pożywie-
nie! — Panno pokorna,
łagodna cicha, Daj niech
pokojem kraj nasz od-
dycha, Niech się nie-
zgoda w nas nie roz-
wija, Broń nas od wojny
Zdrowaś Maryja!



O duszę dziecka

W dniach 4 i 5 maja odbyła się w Warszawie konferencja Episkopatu polskiego. Wzięło w niej udział 33 biskupów. Konferencja zajęła się przede wszystkim zagadnieniami nauczania i wychowania młodzieży, uczęszczającej do szkół.

W szeregu referatów wykazano dodatnie ale także i ujemne strony w dzisiejszym szkolnictwie.

Powtarzające się w ostatnich czasach tu i owdzie niepokojące objawy w zakresie wychowania i nauczania młodzieży szkolnej oraz nieusunięte objawy nieporozumienia pomiędzy władzami szkolnymi a kościelnymi stały się powodem, że Biskupi polscy uznali potrzebę zasadniczego rozpatrzenia obecnego sposobu wychowania młodzieży.

Zwrócili więc ponownie uwagę na tak bardzo ujemne objawy jak np. koedukacja (t. zn. wspólne nauczanie chłopców i dziewcząt), na wychowanie młodzieży katolickiej przez niekatolików, na przesadne wychowanie fizyczne ze szkodą dla zdrowia, oraz na popieranie organizacji niezgodnych z duchem młodzieży katolickiej i t. d.

Episkopat pragnie pomyślnego ułożenia stosunków między władzami szkolnymi a Kościołem i społeczeństwem katolickim.

W referatach podkreślono trudną i odpowiedzialną pracę kół nauczycielstwa, któremu się należy uznanie i wdzięczność. Z uznaniem jest także Episkopat dla katolickich organizacji młodzieży, pracujących przeważnie w ciężkich warunkach.

Poza tem postanowił Episkopat jak najenergiczniej wystąpić przeciwko udzieleniu przez innowierców rozwodów małżeństwom, zawartym w kościele katolickim i przypomnieć ponownie społeczeństwu katolickiemu świętość i nierozzerwalność małżeństwa katolickiego.

Z tych ogólnych wiadomości z przebiegu konferencji poznać można, jak pilną uwagę zwracają Biskupi polscy na szkolne wychowanie młodzieży i na trudne warunki jej katolickich organizacji oraz jak konieczne jest pomyślnie ułożenie stosunków pomiędzy władzami szkolnymi a Kościołem i społeczeństwem katolickim.

I rzeczywiście, gdzie zasady i potrzeby wychowania katolickiego zostaną urażone, tam nie do nauczycielstwa ale do władz szkolnych trzeba mieć pretensję. Jeżeli więc rodzice katolicy protestują przeciw koedukacji, wprowadzonej na obszarze miasta Krakowa, to protest ten domaga się odpowiedniej zmiany statutu dla szkół powszechnych i stosowania go przez władze szkolne w zakresie koedukacji tylko w wypadkach koniecznych. Jeżeli w Łodzi w szkole powszechnej nr. 29 zawieszają się Kru-

cyjną Eucharystyczną, to zawieszenie to dokonane zostało na zarządzenie inspektora szkolnego pomimo tego, że Kuratorium Okręgu Szkolnego Łódzkiego zawiadomiło Kurję Diecezjalną i Inspektorat Szkolny w Łodzi, że Ministerstwo W. R. i O. P. pismem z dnia 4. I. 1928 r. poleciło, by Krucoję Eucharystyczną wśród młodzieży szkolnej traktować jako dozwoloną organizację o charakterze religijnym i dotąd tego polecenia nie odwołało.

I w Krakowie i w Łodzi odbyły się w tych sprawach zebrania rodziców katolickich. Jest to pocieszący objaw. Na zebraniu rodzicielskim w Krakowie Księżę Metropolita Sapieha wyraził też żywą radość, że rodzice porzucili dotychczasową bierność i że wzrosły ich zainteresowania szkołą i tem, co się w szkole dzieje. Obowiązek wychowawczy ciąży na rodzicach katolickich i w wychowaniu domowym i w wychowaniu szkolnym. Jedno i drugie wychowanie musi się kierować zasadami katolickimi, od których ani rodzicom ani Kościołowi odstąpić nie wolno.

Oby pragnienie Episkopatu, aby objawy nieporozumienia między władzami szkolnymi a Kościołem i społeczeństwem katolickim zostały pomyślnie usunięte, urzeczywistniło się jak najrychlej, bo tu idzie przecież o duszę dziecka, za którą i rodzice i duszpasterze są odpowiedzialni przed Bogiem.

zapisana u św. Jana w rozdz. 16, w. 5—14.

odebrało im mowę, iż ani zapytali Chrystusa: „dokąd idziesz?”

Trwoga ich i obawa o swój los wystąpiły wnet jeszcze silniej, gdy podczas pojmowania odbiegli od Jezusa w Ogrójcu i gdy Piotr po trzykroć zapierał się znajomości z Chrystusem, wołając: „nie znam Człowieka tego!”

Jeszcze wówczas brakło Apostołom oświecenia i darów Ducha Świętego, a osobliwie daru — cnoty męstwa chrześcijańskiego.

Cnota męstwa chrześcijańskiego szczególnie jest potrzebna nam w dzisiejszych czasach. A zwłaszcza, gdy mamy w kraju tyłu prześladowców wiary Chrystusowej (wolnomyślicieli, masonów, sekciarzy) i gdy z zewnątrz płynie ku Polsce katolickiej zaraza pełnego bezbożnictwa od Wschodu, a nowo-pogaństwa i zapierania się Chrystusa od Zachodu. Trzeba męstwa w niezłomnym ukochaniu, wyznawaniu i obronie naszej wiary katolickiej. Wielu widzimy dzisiaj Polaków-katolików, co lękają się manifestować swą wiarę, co boją się popierać Akcję Katolicką, należeć do katolickich stowarzyszeń młodzieży, współpracować w katolickich bibliotekach parafjalnych, popierać prasę katolicką i t. d.

Pisał św. Jan Ewangelista do wiernych: „Wy z Boga jesteście synaczkowie, i zwyciężyliście antychrysta, gdyż większy jest Ten, co w was jest, niż co na świecie” (I Jan, 4, 4). Na wzór tych pierwszych chrześcijan, co z Bogiem mężnie zwycię-

żyli antychrysta, występujemy do walki z nowoczesnymi antychrystami. Brońmy wiary Chrystusowej dla samych siebie, dla Narodu naszego.

Bo zbawienie, bo szczęście jednostek i ludzkości li tylko u wiecznie żywego i wiecznie świeżego źródła Nauki Chrystusowej. Jedyne tam, a nie w naukach Marksa, Lenina, Ludendorfa i jemu podobnych w dzisiejszych Niemczech, którzy tworzą nowo-pogaństwo. Naśladujmy wzory nowoczesnego męstwa chrześcijańskiego, a zwłaszcza męznego i jawnego wyznawania wiary.

Niedawno w Genewie przyjmowano do Ligi Narodów Bolszewję. Olbrzymie zebranie delegatów pięćdziesięciu państw. I wbrew większości mają odwagę wystąpić dwaj chrześcijańscy delegaci: Szwajcarji (Motta) i Irlandji (de Valera) i zgłaszają głośny protest przeciwko współpracy w Lidze z Bolszewją, przeciwko komunizmowi, burzącemu moralność chrześcijańską, walczącemu z Bogiem i Kościołem Jego. Mężnie wyznają: szczęście ludzkości tylko w poszanowaniu przykazań Bożych i wier-
nem strzeżeniu moralności chrześcijańskiej, na drodze miłości Boga i bliźniego. Ileż razy milczy nie jeden katolik, gdy głośno powinienny protestować?

Obyż Duch Święty, przyrzeczony a potem i zesłany Apostołom, miał zawsze mieszkanie i w waszych sercach, umacniając je cnotą męstwa chrześcijańskiego.

X. Szcz. St.

Ewangelja na czwartą niedzielę po Wielkanocy

zapisana u św. Jana w rozdz. 16, w. 5—14.

Won czas: Mówił Jezus do uczniów swoich: Idę do Tego, który Mnie posłał, nikt zaś z was nie pyta Mnie: „Dokąd idziesz?”

Ale że to wam powiedziałem, smutek nappełnił serce wasze. Ja zaś prawdę wam mówię: Pożyteczna rzecz dla was, abym odszedł. Albowiem jeśli nie odejdę, Poczieszyciel nie przyjdzie do was; ale gdy odejdę, pošlę Go wam. A gdy On przyjdzie, pouczy i przekona świat o grzechu i sprawiedliwości i o sądzie. O grzechu mianowicie, dlatego, że nie wierzą we Mnie; a o sprawiedliwości, bo ja odchodzę do Ojca, i już mnie nie ujrzycie; o sądzie zaś, gdyż księżę tego świata jest już osądzony. Wiele mam jeszcze wam do powiedzenia, ale teraz znieść nie możecie. Gdy zaś przyjdzie On Duch prawdy, poprowadzi was do wszelkiej prawdy; albowiem nie będzie mówił od Siebie, ale cokolwiek usłyszycie, powie; i to, co nastąpi, oznajmi wam. On Mnie uwielbi, gdyż z mego weźmie, a wam oznajmi.

NAUKA.

Zapowiada Zbawiciel przed swą Męką Apostołom, że od nich odejdzie.

Nieoświeceni jeszcze łaską Ducha Świętego, sądzili, że im Zbawiciel założywszy świetne ziemskie królestwo, porodziła wielkie dostojęstwa w niem.

Zasmucili się tedy i zatrwożyli tak dalece o swój los, że smutek i przerażenie

ŚWIĘTY Z BLIZNĄ NA TWARZY

„Aniołom Swoim
każę cię pilnować“

Rzym. Katedra św. Piotra. Dzień 25 stycznia 1934 r. Tłumy ludu tłoczą się u bram kościelnych. Wysoko — ponad mrowiskiem ludzkim — w powodzi światła i kwiatów, tonie obraz błogosł. O. Antoniego Marii Claret (wym. Klaret). Szumią organy — biją dzwony — z tysiącznych piersi wznosi się ku niebu po raz pierwszy błagalne wołanie: „Błogosławiony Antoni, módl się za nami!“

Żył w latach 1807—1870. W życiu swem przeszedł wszystkie szczeble społeczne. Z ubogiej pochodzącej rodziny wychylił do ostatniej kropelki czarę niedoli robotniczej, czarę pracownika fabrycznego niesumienne wyzyskiwanego przez pracodawcę. W 22 roku począł myśleć o kapłaństwie, lecz mógł je przyjąć dopiero po latach. W głównym zawodzie był i pozostał aż do samego końca duszpasterzem i misjonarzem z najgłębszego powołania, pozyskującym w niewymownie ciężkich czasach ciągle nowe dusze swemu Boskiemu Mistrzowi. A tylko przypadek sprawił, że na krótkie lata poruczono mu obowiązki arcybiskupa na olbrzymiej, duszpastersko zaniedbanej wyspie amerykańskiej Kuby! I tylko chwilowem niewiele znaczącym zbroczeniem od głównej drogi misjonarskiego powołania było pójście na zamek królewski w Madrycie, by sprawować wśród niebywałych trudności ciężkie obowiązki spowiednika dworskiego. Lecz jeszcze przed śmiercią powraca do swego najprawdziwszego powołania i nie bacząc na wielkie niebezpieczeństwa uprawia znowu z wielkiem powodzeniem misję w Katalonii.

Hiszpanja ówczesna przeżywała podobnie niebezpieczne czasy jak dzisiaj. Może to groźne podobieństwo z tamtymi czasami przyczyniło się nawet do przyspieszenia beatyfikacji biskupa Antoniego Claret. W obecnych pełnych zamętu czasach chciano dać katolickiej Hiszpanji w jego osobie nowego patrona i opiekuna.

I wówczas naród hiszpański był katolickim, lecz po większej części tylko z nazwiska. Ogromna oziębłość zawładnęła duszami. Wszędzie zanadto brak kościołów i kapłanów. Dość wspomnieć, że zostawszy arcybiskupem otrzymał ks. Claret w spadku po swych poprzednikach dla swej olbrzymiej diecezji ogromne seminarjum, które jednak od niepamiętnych czasów już żadnego nie wydało wychowanka. Dość powiedzieć, że przyszły na nową posadę musiał ks. Claret uzdrowić sakramentalnie około 12 tysięcy „dzikich“ małżeńskich związków i zalegalizować około 40 tys. nieślubnych dzieci. Jak zwykle, z ogromnym upadkiem obyczajowym w parze szło wprost niepodobne rozpolitykowanie i roznamietnienie partyjne! Partja więcej znaczyła aniżeli cała ojczyzna! Szalone napięcie partyjne sprawiało, że ludzie zapominali, iż są braćmi i synami tego samego narodu. Znacność obywatela oceniano nie wedle zasługi i charakteru, lecz wedle przynależności partyjno-politycznej. Biada temu, kto miał nieszczęście należeć do partji po-
bitej.

Przewrażliwienie polityczne było tak wielkie, że zuchwale sięgano nawet do bramy kościelnej. Kaznodzieja musiał kłaść na wagę złota każde słóweczko na ambonie, by nie być zawikłany w procesy lub nie dostać się do więzienia. Każdy środek był święty, byle prowadził do upragnionego politycznego celu. Prze-

ciwnicy, głównie masoni, nie wzdrygali się nawet przed użyciem siły. Wiadomo, że w 1856 roku najeli skrytobójcę, który pocałowawszy po kazaniu obłudnie w pierścionek błogosł. Antoniego, błyskawicznie wyjął brzytwę, by mu zadać cios śmiertelny! Pozostała blizna. Lecz blizna na policzku przez całe dalsze życie chlubnie stanowiła świadectwo o tych rozlicznych niebezpieczeństwach, w jakich ten wielki duszpasterz misjonarz wykonywać musiał przez całe życie swe kapłańskie i misjonarskie powołanie.

Pracę jego cechowało nadzwyczajne powodzenie. Był spowiednikiem, kaznodzieją,



literatem, organizatorem, a przedewszystkiem miał ogromny wpływ na ludzi. Gdy jako misjonarz wędrował od jednej miejscowości do drugiej, lud rozentuzjasmowany nieraz wprost szalał. Witano i żegnano go okrzykami: „Niech żyje O. Claret!“ — „Niech żyje nasz drogi misjonarz!“ — Konfesjonał jego ciągle był obleżony, kościół, w którym pracował, przepelniony. Gdy wygłaszał kazanie, porывał serca wszystkich. Mówił jak ktoś, kto posłany jest od Boga.

Nic dziwnego, że ku niemu zwróciła się cała złość i nienawiść wrogów Kościoła — masonów, tajnych stowarzyszeń antyreligijnych. Okrutną bezwzględnością starano się unieszkodliwić tak groźnego przeciwnika.

O tych przelicznych niebezpieczeństwach, srożących się w owych groźnych czasach, chce właśnie mówić dzisiejszy artykuł! Chce zarazem wskazać na te dziwne drogi, któremi Bóg prowadził w takich czasach swoich wybrańców. Gdy jaki bowiem naród upadnie bardzo nisko, tak nisko, że zwykła praca duszpasterska już nie przynosi owoców, wtenczas potrzeba cudów. Wtenczas Bóg swych pracowników obdarza nadzwyczajnymi mocami. Daje

im cudowne siły, które chroniąc ich od upadku i zguby zarazem pozwalają im wyrwać naród z oziębłości i oziębłości religijnej.

Oto kilka znamienitych obrazów:

Zagrożony ogniem

Było to 12 marca 1856 r. Błogosławiony O. Antoni znajdował się na wizytacji arcybiskupiej. Wyruszył z miejscowości Holguin — z tej samej miejscowości, w której był swego czasu otrzymał owo zdradzieckie cięcie brzytwą — i dażył w stronę Altagrazia, by tam przenocować wraz z towarzyszami.

Gdy przybyli do osiedla Naranjo de Santa Loninga, błogosławiony Claret, widząc u swych towarzyszy wielkie już wyczerpanie, rzekł do nich:

— Do Altagrazia mamy jeszcze dobre dwie mile drogi, a ponieważ jesteście wszyscy już bardzo zmęczeni, przenocujemy tutaj.

Pokładli się i już wkrótce, zmęczeni śmiertelnie, zapadli w sen głęboki. Wczesnym rankiem ruszono w dalszą drogę. Lecz co zastali w Altagrazia? Dom mieszkalny, w którym pierwotnie zamierzali przenocować, zamieniony był w kupę dymiących popiołów. O północy bowiem wybuchnął nagle równocześnie w kilku miejscach ogień, który w okamgnieniu zajął wszystko. Niczego nie można było uratować. Sam tylko właściciel, także podówczas nieobecny, uszedł z życiem. Był to wyraźny zamach na błogosławionego Antoniego Clareta, by go usunąć i unieszkodliwić. Lecz Opatrzność Boża uchroniła go od śmierci. Podróżni ruszyli w dalszą drogę, wielbiąc Boga za tak cudowne ich ocalenie. Wkrótce dogoniła ich wieść, że i Naranjo, w którym byli nocowali, stało się łupem płomieni. Takimi i innymi sposobami starano się wzniecić w duszach ludu strach i zgrozę i odsunąć wiernych od ich umiłowanego pasterza.

Pod grozą sztyletów

O. Antoni wygłasza kazanie. Pod amboną ustawiło się dwóch bandytów, by go zamordować po kazaniu. Ponury wzrok utkwił w ziemię — zda się, że głusi są na wszystko dokoła. Kaznodzieja mówi o Sądzie Ostatecznym, o strasznych mękach piekielnych, czekających potępionych. Lud słucha z zapartym oddechem. A potem zmienia nagle ton swego przemówienia. Przed oczyma słuchaczy zjawia się — Chrystus. Promiennym swym wzrokiem przenika do głębi duszę grzesznika — i wyciąga doń zbawczą dłoń, by ratować go z tej otchłani nędzy i rozpacz. W wielkiej ciszy rozplywają się ostatnie słowa. Teraz O. Antoni schodzi z ambony i idzie przez kościół powoli, spokojnie. Nikt mu drogi nie zagradza. Za nim wchodzi do zakrystji dwóch mężczyzn, właśnie owych dwóch najętych bandytów, prosząc go ze łzami w oczach o wysłuchanie spowiedzi. — — —

Powróciwszy z Kuby do kraju rodzinnego i objąwszy ciężkie obowiązki na-

dwornego spowiednika, przez krótki tylko czas zaznaje spokoju. Niezadługo bowiem rozpoczynają się walki polityczne o wpływ na dworze. Już nietylko czyhają na jego życie, lecz starają się także podkopać jego autorytet u ludzi, splamić mu honor, zniesławić dobre jego imię. Rozrzuca się wśród ludu najohydniejsze opowiadania o jego stosunku do królowej hiszpańskiej Izabelli, rozdaje się odpowiednie obrazki i bezwstydną karykatury, szerzy się druczki, nowelki, pełne plugawych oszczerstw przeciwko świątobliwej osobie nadwornego spowiednika, stroniącego przecież od polityki i uważającego, że asceza czyli uduchowanie siebie i innych to jedyne jego powołanie.

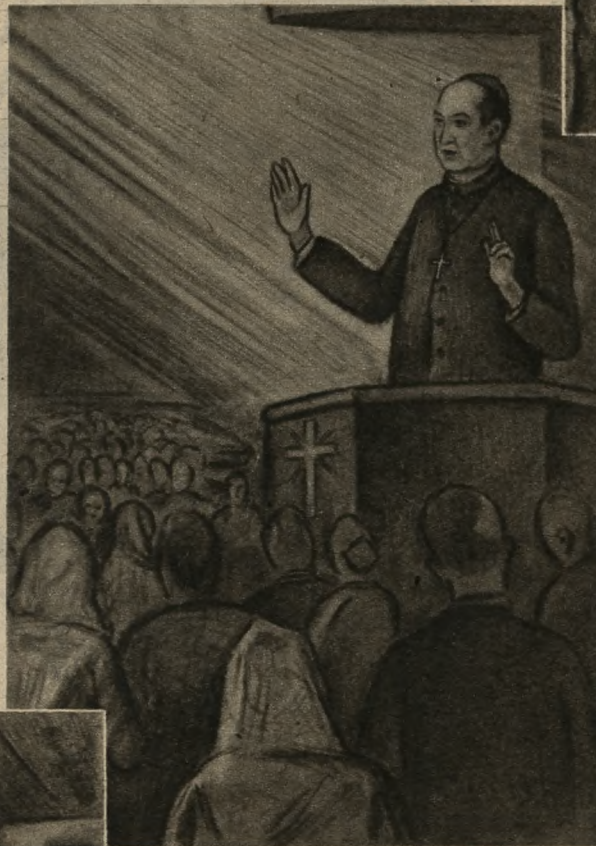
Ale błogosławiony Claret nie zwyczajnym był sobie księdzem. Była to osoba święta, przez Boga wybrana, przez Boga posłana do ludzi. A tacy wybrańcy Boży nie pozwolą się zastraszyć i z drogi Bożej zepchnąć. Naokoło niego huczała burza, fale wysoko się piętrzyły i zdawało się nieraz, że go pochłoną. Lecz wewnątrz, w duszy i sercu naszego Świętego była cisza, ta cisza, jaką tylko Bóg daje swoim wybrańcom w najcięższych chwilach. W owe ciężkie lata przypada wydarzenie, które najoczywiściej wszystkim, pragnącym je zrozumieć, pokazało najwyraźniej opiekę Bożą nad błogosławionym Claretem.

Było to w r. 1856. Do swego „przyjaciela” przyszła pewnego dnia pod wpływem kazania usłyszanego w katedrze jego towarzyska i oświadczyła, że dość ma grzesznego z nim pożycia, że postanowiła stać się uczciwą i zrywa wobec tego wszelkie z nim stosunki. Towarzysz jej słusznie się domyślił, że za sprawą tą kryje się przemożny wpływ zniechęconego O. Antoniego. Wkrótce znalazł godnego sobie kompana, gotowego jak on do każdej nikczemności. Postanowili zamordować Claretę tejże jeszcze nocy, a potem czem-

prędzej uciec z Madrytu. Do wykonania swego haniebnego łotrstwa wybrali stary, odosobniony dom przy ul. Siviglia. Jeden z nich położył się do łóżka, udając ciężko chorego. Drugi poszedł do O. Antoniego, by prosić go o przybycie do umierającego. O. Claret nie zwykł nikomu odmawiać. Natychmiast udaje się w drogę. Gdy stanęli przed niską, zniszczoną bramą bardzo ubogiej chaty, zdobył się nikczemnik jeszcze na tę beczelność, by uniewinnić się przed Claretem, że prowadzi go pod dach tak ubogi.

— Proszę wejść na pierwsze piętro, tam znajduje się umierający. Ja tutaj poczekam na powrót.

Claret — naówczas już starzec 60-letni — z trudem wspina się w górę po trzeszczących, niepewnych schodach. Otwiera wskazane mu drzwi, wchodzi do pokoju, pozdrowia. Lecz nikt nie odpowiada. Ciemności nieprzeniknione i cisza. Idzie dalej



Nawpół przytomny bandyta wchodzi do pokoju i świeci. Odrzuca koldrę. Oczom jego przedstawia się ohydny widok trupa, który w zastygłych już palcach ściska sztylet, narzędzie mordercze. Wspólnik zupełnie oszłomiony, pada na twarz przed kapłanem, błagając go o przebaczenie. Otrzymuje je, lecz z zastrzeżeniem, że publicznie ogłosi to cudowne ocalenie.

Podejrzane przesyłki pocztowe

Próbowano nastraszyć O. Antoniego najrozmaitszymi groźbami. Z zasady nie czytywał O. Claret listów anonimowych. Dość często jednak przysyłano mu listy z podpisami sfałszowanymi.

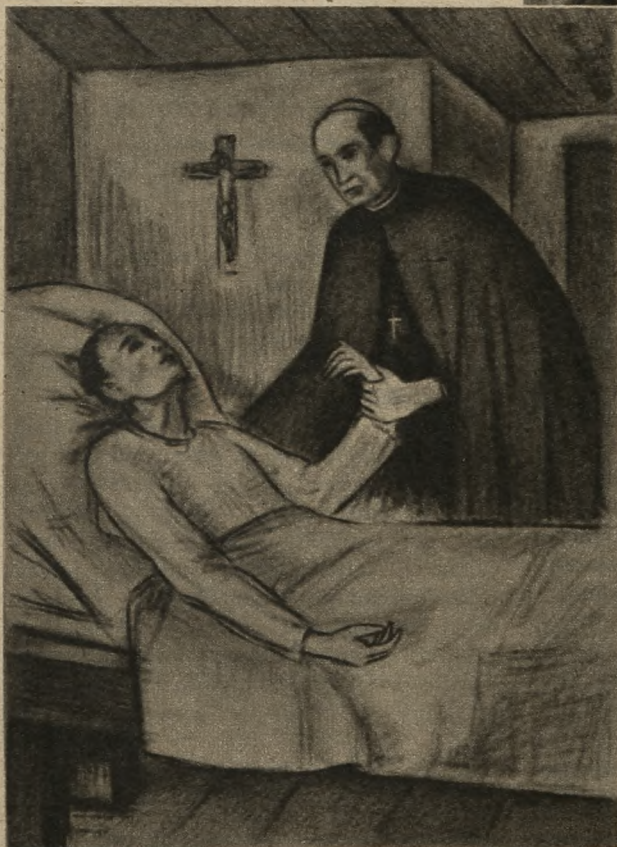
Takie to pisma otwierały mu oczy na niejedne spiski, uknute przeciwko jego osobie. Niewzruszony, z zupełną swobodą ducha, zwykł wtedy mawiać: „To wszystko jest bardzo słuszne i dobre, lecz boję się tylko Boga — i przeciągów”. (Nieraz bo-

wiem przeciąg przyprawił go o chrypkę, co uniemożliwiało mu wygłoszenie kazania.)

Pewnego dnia przyniesiono mu z kolei tajemniczą, zalakowaną i zapieczętowaną skrzynię. Kazał ją natychmiast otworzyć. Z okrzykiem zgrozy cofnęli się wszyscy. Skrzynia bowiem zawierała rozkładającego się już trupa, do którego przyczepiona była kartka z napisem: „Po kilku dniach i Ty takim się staniesz!” Przesyłkę tę miał masonom do zawdzięczenia.

Zamachy — jasnowidztwo Clareta

W szpitalu Monserrato wydarzył się następujący wypadek. Pewna kobieta o bardzo lekkich obyczajach zapragnęła usłyszeć choć raz tak głośnego „Frate” (jak ogólnie zwano O. Antoniego). Słowa słynnego kaznodziei tak wzruszyły ją i przejęły, że opuściła kościół jako zupełnie inna kobieta. Całym sercem pragnęła poprawy i pojednania się z Bogiem. W domu zapowiada swemu towarzyszowi, że rozstaje się z nim nazawsze. On wpada w szaloną furję, zaczyna ją bić niemilosiernie, a wreszcie nawpół zemdloną zamyka w komorze. Potem zarzuca płaszcz, kryjąc pod nim



w głąb niesamowitego pokoju, powoli posuwa się naprzód ostrożnie stawając, krok za krokiem. Nagle ręce jego natrafiają na łóżko. Szuka dalej — i lekki okrzyk wydziera mu się z ust. Pod koldrą namacał — trupa. Wychodzi więc na schody i woła:

— Hej, wołałście mnie do chorego, a ten przecież już dawno nie żyje!

Łatwo sobie wyobrazić, jak piorunujące wrażenie wywarły te słowa na drugiego łotra, który na dole oczekiwał tylko wiadomości, że zniechęcony Claret już zamordowany, by wraz z mordercą zbiec z miasta.

— Nie żyje? — pyta zduszonym, ochrypłym głosem.

— Wejdz i sam się przekonaj!



Zgon ś. p. Marszałka Józefa Piłsudskiego

W niedzielę 12. 5. 35 zmarł w 69 roku życia Marszałek Piłsudski, zmożony nieuleczalną chorobą raka. Od wczesnej młodości poświęcił się działalności politycznej, mając na celu wywalczenie niepodległej Polski. Przez szereg lat toczył zaciętą walkę z caratem. Ostatnią walkę z Rosją już niecarską prowadził w latach 1919—1921 uwieńczoną wielkiem zwycięstwem, które przeszło do historii pod nazwą „Cudu nad Wisłą”. Jako wódz i polityk ś. p. Marsz. Piłsudski miał na oku przede wszystkim wielkość Rzeczypospolitej Polskiej, wielkość na miarę mocarstwa. Pragnął, by na wschodzie Europy Polska, a nie jakie inne państwo, grało naczelną rolę polityczną. Wiadomość o zgonie doszła nas już po wydrukowaniu większej części niniejszego nakładu. Dlatego pierwsza, ~~niepełna~~ część czytelników naszego pisma podobizny Marszałka mieć nie będzie. Z tego samego powodu ograniczamy się do wydrukowania podobizny ś. p. Marszałka, dalsze szczegóły podamy w następnym numerze.



Aleja grabowa prowadząca do dworu w Hruszowej

Hruszowska Pani

Z pobytu w gnieździe rodzinnem
Marji Rodziewiczówny

Na Polesiu, w zachodniej jego części, w powiecie kobryńskim, we wsi Hruszowej, żyje sobie, gospodaruje, tworzy i działa najczciodsza tej ziemi przedstawicielka i pieśniarka — Marja Rodziewiczówna.

Siedzi na swej umiłowanej ziemi, której szmat duży posiada. Ziemia to poleska, uboga, z błot i piasków się składająca. Ale pani na Hruszowej umie koło niej chodzić, by ją utrzymać, będąc przykładem i wzorem dla innych.

W zarząd i posiadanie wzięła ją, mając zaledwie lat 18, i aż do tej chwili bez przerwy dzierży. W ciągłej walce o tę ziemię, by ją utrzymać, przed wrogimi zakusami uchronić, długi ciężące na niej spłacić — dusza jej skrzepla, stała się mocna.



Marja Rodziewiczówna

I nietylko ziemię swą utrzymała i pracą uświęciła, lecz innych zagrzewała do wytrwania, do trzymania się ziemi, ile sił starczy i mocy. Ziemiabowiem jest źródłem życia. Co się jej trzyma, w niej tkwi — to żyje. Ideę tę włożyła w usta

Marka Czertwana, boha-

tera powieści „Dewajtis“, który mówi:

„I mnie taką siłę dał Bóg, żem ziemię tę moją ukochał nad świat cały — i nad młodość i nad rozrywkę i nad rodzinę i dom. Ile duszy starczy, takim ją miłował; od łanu do łanu schodziłem ją stopami; przez dziesięć lat z nikim nie żyłem tylko z tą rodzoną i rozumieliśmy siebie; mówiła mi do serca zbożami złotemi, zieloną łąką, ciemnym bo-



Dwór w Hruszowej

rem. I zaprzysiągłem wówczas, że mi jej nikt nie weźmie, chyba z życiem.“

To umiłowanie ziemi rodzinnej, wiary, języka, tradycji, przyrody i wynikające z tego obowiązki, są zasadniczą treścią całej twórczości pisarskiej Rodziewiczówny. Rozumie ona, że nie dość jest powiedzieć ludziom, że trzeba spełniać te obowiązki. Trzeba im pokazać ideał, trzeba go przedstawić.

A skąd go bierze? Z życia. Wypatruje ludzi mocnych, niezłomnych, w przeciwnościach i walce zahartowanych i życie ich i czyny w książkach swych opisuje.

Dziwią się niektórzy i podają w wątpliwość istnienie takich bohaterów, twierdząc, że są to ideały nieosiągalne.

Tak nie jest. Rodziewiczówna sama zaznaczyła w rozmowie, że są tacy ludzie, żyją razem z tymi słabymi i ułomnymi — ale trzeba ich umieć zobaczyć i rozpoznać w tłumie. Oni w skupieniu i cicho idą przez życie, w cele swe zapatrzeni.

Siedziba czcigodnej pisarki skryta jest w zieleni drzew. W głębi trawnikiem pokrytego dziedzińca, w obramowaniu wspaniałych kasztanów i świerków widnieje stary już, bo przeszło stuletni hruszowski dwór. Cztery potężne filary,

podtrzymujące przyczółek i tworzące podjazd przez główne podwoje, dodają tej rezydencji powagi i dostojności.

Opodal stoi lamus, który piękną kolumnadą i charakterystyczną polską budową zwraca uwagę każdego, kto się tam znajdzie.

Wnętrze dworu, biało wybielone, cechuje prostota. Niema w urządzeniu nadzwyczajności, ani przepychu — ale mimo to chwyta ono za serce swym typowo polskim wyglądem i urokiem zasiedziałości.

W sieni skrzynie krakowskie; w głównej komnacie kominek, skupiający w długie jesienne wieczory mieszkańców dworu; meble stare, proste, lecz wytworne, na ścianach portrety przodków; w jadalni rzeźbione pięknie zydle i stół długi, dębowy, tylko wtedy nakryty, gdy domownicy posiłek spożywają, a upiękuszony zawsze bukietem przeslicznych róż; wreszcie te sprzęty i przedmioty, które świadczą o upodobaniach mieszkańców. Wszystko to czyni z hruszowskiego dworu całość piękną i ciekawą, jako odzwierciedlenie i odbicie osobowości gospodarza, jego potrzeb, zwyczajów i zamiłowań.

Życie domowników hruszowskiego dworu płynie wśród przedziwnie pogodnego nastroju. Toczy się ono według przyka-



Sala jadalna w dworze hruszowskim

zań domowych, wiszących na ścianie w przedpokoju i obowiązujących mieszkańców.

Oni je zresztą wszyscy w duszach swoich mają wryte. Piękne są te przykazania:

1. Czcij i zachowaj ciszę, pogodę i spokój domu tego, aby stały się w tobie.
2. Będziesz stale zajęty pracą wedle twych sił, zdolności i zamiłowania.
3. Nie będziesz śmiecił i czynił bezładu ani zamieszania domowego porządku.
4. Pamiętaj, abyś nie kaził myśli ni ust swoją o złem, marności i głupstwie.



Lamus hruszowski



Śpichlerz hruszowski.

5. Nie będziesz opowiadał, szczególnie przy posiłku o chorobach, kalectwach, kryminałach i smutkach.
6. Nie będziesz się gniewał, ani podnosił głosu z wyjątkiem śpiewu i śmiechu.
7. Nie będziesz zatrzuwać powietrza domu złym i kwaśnym humorem.
8. Nie wnoś do domu tego szatańskiego czi pieniądza i przekleństwa spraw jego.
9. Zachowaj przyjaźliwość dla Bożych stworzeń, za domowników przyjętych, jako psy, ptaki, jeże, wiewiórki.
10. Nie okazuj trwogi a znoś ze spokojem wszelki Boży dopust, jako głód i chłód, biedę, chorobę i najście niepożądanych ludzi.

Błogosławieństwo Boga i Królowej Korony Polskiej niech strzeże fundamentów, węglów i ścian domu tego, oraz duszy, serca i zdrowia mieszkańców. Amen."

Jakby wyglądało życie polskie, gdyby wszyscy według nich postępowali?

Dom własny — według Rodziewiczówny — to świętość, a urokiem jego zasiedloność i swojskość. W nim może człowiek żyć pełnym życiem. Dlatego też trzeba go strzec przed najciemniejszymi niepożądanymi i niegodnymi ludźmi.

Marja Rodziewiczówna strzec go potrafi.

W niezbyt pogodny wieczór po raz pierwszy zjawiłem się w Hruszowej.

Po wieczerzy nie starczyło czasu, więc postanowiłem nazajutrz rychłym rankiem obejrzeć środowisko, w którym się znalazłem, a które tak ciekaw byłem poznać.

Skrzyp zórawi studziennych i nawoływania pastuchów, wypędzających bydło w pole, zbudziły mnie dość wcześnie, a radosne promyki słońca, wdzierające się do komnatki, zachęciły do wstania.

Wyszedłem na ganek ogrodowy przed dwozem, którego część tylko jaśniała w słońcu. Wiekowy bowiem i wspaniały dąb, rozłożystymi konarami panując nad domem, rzucał nań swój cień. Przede mną zielone kobierce trawników, utkane różnobarwnym kwieciami. A kwiecica tego moc taka, że zapach rozchodził się upajający, a nazw i gatunków nie sposób wyliczyć.

Upojony zapachem i oczarowany pięknem zagłębiłem się w zieleń drzew i krzewów. Odkryłem tam wspaniałą pasiekę, w której ule imionami królów polskich są nazwane, a którą w szczególnej pieczy ma p. Rodziewiczówna, gdyż pszczelarstwo należy do jej umiłowanych zajęć.

P. Rodziewiczówna, będąc miłośniczką wielką przyrody w myśl słów: „żyć z przyrodą, to żyć z Bogiem, a żyć z Bogiem, to mieć słońce w duszy” — zaznajamia się z nauką przyrodniczą gruntownie, następnie spędza lato przez lat kilka z rzędu w puszczy, w chacie zwykłej mieszkając. To leśne życie

dało jej temat do prześlicznej książki p. t. „Lato leśnych ludzi”. W bratnim upominku ofiarowuje ją tym, którzy o takim lecie marzą. Oto do dziś dnia chata „leśnych ludzi”, pełna śladów leśnego bytowania, stoi opodal hruszowskiego dworu — świadczy i zawsze świadczyć będzie, że niema rozbieżności między słowem i czynem Marji Rodziewiczówny.

Pogodny, przedwieczorny czas. Słońce ma się już ku zachodowi, gdy pusty i głuchy dotąd podworec hruszowski napelnia się życiem. Wraca z pastwiska bydło i owce, konie od pracy, a wraz z nimi, z bekiem, gwarem, nawoływaniem pastuchów i fernali, skrzypieniem studziennych zórawi, turkotem wozów — rajkot wiejskiego gospodarstwa. Gdy na nieboskłonie widać już tylko czerwony odblask zachodu, ludzie, utrudzeni całodzienną pracą, schodzą z pola. Na krótką chwilę rozbrzmiewa podwórze gwarem ludzkim i brzękiem potrącanych narzędzi, by wnet się uciszyć. Tymczasem mrok zapada, a niebawem cisza zapanuje nad ziemią, niosąc spracowanym zasłużony spoczynek.

Jeszcze nie umilkły ostatnie odgłosy dnia, gdy siwy rządcą hruszowski z raportem staje przed hruszowską Panią, zdając dokładne sprawozdanie z pracy, osiągniętych wyników i wydarzeń dnia. Zarazem odbywają się narady nad pro-

gramem pracy i zajęć na dzień następny.

Rodziewiczówna osobiście dzierży rządę gospodarstwa rolnego i leśnego, księgi gospodarcze prowadzi, korespondencje wszelkie załatwia, umowy zawiera z kupcami i handlarzami. Żaden szczegół w gospodarstwie nie jest jej obcy. Jedynie gospodarstwa domowego nie prowadzi. Wyrećca ją w tem p. Skirmuntówna, dzieląca z nią radości i troski hruszowskiego życia.

Do pracy hruszowska Pani ma szczególne zamiłowanie. Mimo, iż osiągnęła już wiek poważny (ur. w 1863 roku) nie ma chwili, by jakąś pracą nie była zajęta. Postępuje w myśl słów, które w jednej ze swych powieści powiedziała: „Trud i praca sama w sobie jest przyjemna i zdrowa.”

Niezapomniane są wieczorne, przy i po wieczerzy odbywające się rozmowy, których treścią są prace i spostrzeżenia dzienne, wiadomości i artykuły z gazet, przeczytane książki, bądź inne, bardzo wszechstronne tematy. W nich to zaznaczają się poglądy i zapatrywania Marji Rodziewiczówny na wszelkie przejawy polskiej rzeczywistości — polskiego życia, na zadania i obowiązki pisarza, a także padają cenne wyznania, dotyczące się jej własnej twórczości; — wszystko wyrażone z prostotą i żywością jej właściwą.

Uważa np., że trzeba zaszczepiać ludziom w duszach moc, a nie słabość; zapał, a nie zwątpienie i rozpacz; pogodę i radość, a nie smutek; — że trzeba im wiary w cel życia i rację podjęcia wszelkiej zbożnej działalności, „byle o prawdę, o dobro, o honor”. Uważa, że ludzie są spragnieni pogody, dobra i prawdy, że tych rzeczy potrzebują.

Wyznaje, że napisała ostatnią swą powieść „Gniazdo Białozora”, by przeciwstawić się „czarnym” poglądom na pewien odcinek polskiego życia, wyrażonym przez inną pisarkę, Zofję Kosak-Szczucką w „Dniu dzisiejszym”, zawsze bowiem bierze życie od strony jasnej. Zło nie przesłania jej nigdy widoku rzeczy dobrych. To, że obok złych i marnych widzi wielkie, jest cechą zasadniczą jej umysłu i serca.



Jadwiga Skirmuntówna, przyjaciółka i towarzysza Marji Rodziewiczówny. Trzyma w rękach dwa młode jamniki.

Ciekawą rzecz kiedyś opowiadała na potwierdzenie tego, że człowiek pragnie pogody w książce i triumfu życia nad śmiercią. Otóż za każde uśmiercenie bohatera powieści czytelnicy czynili jej wyrzuty, a odruch ten był bardzo żywy.

Kiedyś znowu oburzała się na postępowanie poważnych nawet dzienników, za to, że łamy całe poświęcają opisowi zła, krzywdy, rozboju, mordu, miast raczej więcej miejsca poświęcić dobru i pięknu. Te rzeczy są przecież o wiele ciekawsze i różnorodniejsze, nie mówiąc już o tem, jak o wiele pożyteczniejsze jest ich rozpatrywanie.

Uzdrowienie stosunków w Polsce i świecie uzależnia od tego, czy ludzie wrócą wreszcie do dekalogu, do dziesięciorga przykazań.

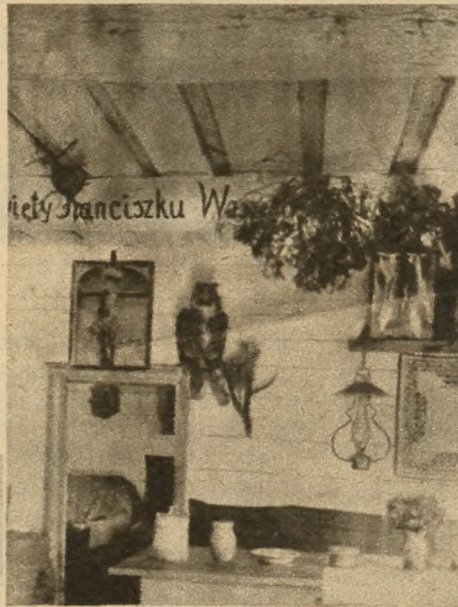
Marja Rodziewiczówna, to postać dostojna, piękna przymiotami serca, charakteru i umysłu — i zasłużona ojczyźnie. O oczach dużych i mądrych, rysach wyrazistych, ruchach zdecydowanych i stanowczych, żywym i pogodnym zawsze usposobieniu, wiecznej młodości w poglądach i wszechstronności zainteresowań — jest



żywym wyrazem dobrze spełnionego obowiązku życia i potwierdzeniem słów własnych: „żyć trzeba tak, aby się ani śmierci, ani życia nie bać.”

Ta jej dostojność uwydatnia się na tle hruszowskiego życia, które jest otoczone przedziwnym urokiem. Wszystko tam tradycją i zwyczajem uświęcone: zasiewki jesienne, rozpoczynane przez hruszowską Panią modlitwą, dożynki śpiewne z wieńcem zboża, poczęstunkiem i tańcami żniwiarzy, prezencja przychówku, grzybobranie, nabożeństwa miesięczne za dusze przodków, odprawiane w hruszowskiej kaplicy, modlitwa na odżegnanie burzy, dawne pokolenia pamiętająca.

Nie na



Wnętrze chaty „leśnych ludzi”.

Obok: Chata „leśnych ludzi”.

wspaniałości więc polega to piękno hruszowskiego życia, ale na przedziwniej prostocie, cechach charakteru i duszy gospodarza, który potrafi tak szare

często i bezbarwne u innych życie opróżnić pogodą i urokiem piękna przepieścić.

Żaden chyba z pisarzy polskich, oprócz Henryka Sienkiewicza, nie ma tej popularności, żadnego dzieła nie cieszą się taką poczytnością, jak Marji Rodziewiczówny. Poczytność jej dzieł jest największą w Polsce, jaką pisarz wśród swego narodu uzyskać może.

Bo też praca jej jest od początku do końca służbą narodowi.

Nie o sławę ona osobistą dba, nie o honory i zaszczyty, lecz o „poczucie spełnionego obowiązku i słońce we własnej duszy.”

To też, gdy obchodziła jubileusz 25-lecia pracy pisarskiej, Henryk Sienkiewicz tak do niej napisał:

„Nigdy nie szłaś śladami tych, którzy mówią sobie: niech naród traci nadzieję, byłem ja uzyskała sławę.”

Nie poświęciłaś nigdy narodowej korzyści dla olśniewającego frazesu, który sztucznym blaskiem oblewa tylko głowę autora, a współrodaków pograża w noc tem ciemniejszą, że beznadziejną.

Służba Twa była zawsze wierna Ojczyźnie, a zarazem jasna i przeźroczna — jak ruczaj litewski. Twój wielki talent wiodła nie tylko wyobraźnia, ale i sumienie, więc był on jak dzwon, którego głos brzmiał dlatego tak wyraźnie i czysto, że w spiz okręgu biło w nim hartowne i uczciwe serce Polski.”

Romuald Tomaszewski.

Gospodyni nie dopuści do tej ostateczności...

W każdym gospodarstwie domowym mamy do czynienia z naczyniami drewnianymi, jak balje, cebryki, beczki do kiszenia ogórków i kapusty, kierzonki do wyrobu masła i t. p.

Naczynia te składają się jak wiemy z dna, oraz szeregu klepek ściągniętych obręczami metalowymi, które tworzą ich ściany.

Każdy wie, że drzewo w miarę wysychania „kurczy się”. To wysychanie drzewa w naczyniach drewnianych ma bardzo smutne następstwa. Klepki przez wysychanie zwięzają się, skutkiem czego obręcze stają się zbyt luźne i w następstwie całe naczynie może się rozpaść i stać niezdatnym do użytku. Dzieje się to zwykle przez niedbalstwo gospodyni — no i oczywiście pociąga za sobą koszty, bo takie rozsypane naczynie trzeba dać bednarzowi do naprawy. Staranna gospodyni nigdy nie dopuszcza do tej ostateczności. Wystarczy bowiem pamiętać, aby w nieużywanym naczyniu zawsze było nieco wody, a napewno nie rozeschnie się ono — i nie rozsypie, ani nie będzie przeciekało. Zdarza się jednak czasami, że pomimo staranności gospodyni, woda z naczynia wyparuje; dzieje się to zwłaszcza w czasie upałów letnich. Dlatego powinno unikać się przechowywania tych naczyń na strychach, które bardzo nagrzewają się latem i panująca na nich temperatura przyczynia się do szybkiego parowania wody. Lepiej więc naczynia takie przechowywać w chłodnej piwnicy, i często doglądać czy nie wysychają. Jeśli mimo to

zdarzy się, że woda wyparuje, i naczynie zacznie się rozsychać, należy zaraz zbadać, do jakiego stopnia rozszło się. Jeżeli już potworzyły się szpary i naczynie cieknie, to należy naprawić je w następujący sposób:

Najpierw namoczyć je, aby drzewo jak najbardziej napęczniało. Jeśli to nie wystarcza, to szpary należy pozaklejać masą, którą przyrządza się w następujący sposób:

Sześć części świeżego, nieprzeżranego twarożu zwilżyć 1 częścią wody i dokładnie przegnieść lub przepuścić przez maszynkę od mięsa.

Do tego sera dodać 5 części proszku niegaszonego wapna. (Części rozumie się w ten sposób, że bierze się naprzykład: 6 dkg sera, 1 dkg wody, i 5 dkg wapna.) Wszystko razem zagnieść na ciągnącą się masę i zagnieść tak długo, dopóki nie pokażą się w niej pęcherzyki powietrzne. Wtedy masa jest zdatną do użytku.

Masą tą zalepia się szpary namoczonego poprzednio naczynia. Po wyschnięciu masa zrogowacieje i naczynie nie będzie przeciekało.

Jednakowoż staranna gospodyni nie powinna dopuścić do tej ostateczności.

R. Haillant.



Jeżeli korek jest za duży w stosunku do butelki, to wtedy należy wydrążyć w nim otwór w rodzaju klinu. Wtedy korek będzie silnie tkwił w butelce i należycie ją uszczelnić.

Niespodzianka

Ella wraca z biura. Kasia otwiera jej drzwi.

— Panienko, co za niespodzianka! — wita ją radosnym szeptem.

— No? Co się stało?

Kasia uśmiecha się.

— O, niechno panienska spojrz, o, tu.

Na jednym z wieszaków czerwieni się otok oficerskiej czapki ułańskiej. Obok błyszczą szablą na tle zielono-żółtego płaszcza, świecącego guzikami i gwiazdkami na naramiennikach.

— A jaki pan rotmistrz dzisiaj śliczny! — zachwyca się Kasia. — Ubrał te, jak to mówią, balowe siesery, a krzyżów na mundurze to niepodobna narachować. A ten jego atjutant czy ordenans, jak to teraz takiego pozywają, przyniósł taki duży kosz z kwiatami, że go ledwo wniósł po schodach. Tak, panienko, mam swój rozum i zaraz połapałam się, poco tu ten pan rotmistrz zachodzi. A, no, mój Boże, jakos to się musiało skończyć. Nic nie mówił, aż tu nagle... Zresztą, takich rzeczy nie można nie zauważyć. Mój nieboszczyk Walenty, to też...

Ella nie słucha dalej.

— Wiem, Kasiu. Dziękuję za życzliwość — przerywa jej i biegnie do swego pokoiku. Opada na fotelik, sięga do stolika po wazon z świeżymi różami, wtula w nie twarz, wchłania ich zapach i zamyka oczy.

...Tak, takich rzeczy nie można nie zauważyć. Wprawdzie... nie zdradził się nawet słowem, no, ale to można było wyczuć. Wczoraj rano spotkali się na ulicy. On szedł do koszar, ona do biura.

— Panno Ello — odezwał się nagle innym tonem, niż poprzednio — pani napewno domyśla się. Takich rzeczy nie można nie zauważyć. Tego jednak nie można tak powiedzieć i... na ulicy... zresztą, mamy już mało czasu. Może kiedyś innym razem...

Pożegnali się przed bramą domu, gdzie mieści się jej biuro. Właściwie, powinien był pocałować ją w rękę. Dawniej, jak dawniej, ale teraz... wobec takiego faktu?! Wprawdzie nic jej jeszcze nie powiedział. Zresztą, to detal, że nie pocałował. No i... sama zawiniła, nie zdejmując rękawiczki.

Kasia uchyliła drzwi.

— Panienko, obiad stygnie.

— A, prawda, zapomniałam. Wprawdzie... nie jestem głodna. Niech Kasia sprzątnie.

— Gdzież to tak można przez obiadu! Znowu pewnie panienska objadła się czymś w cukierni, że potem już niema miejsca na coś uczciwego. Trudno, panienska musi zjeść obiad. Przyniosę tu. Bez te cukiernie jeszcze się panienska jakiego choróbska nabawi.

Ella je wolno zupę i znowu rozmyśla. Co Krysia na to powie? Też się napewno domyśla. Przyznać jednak trzeba, że on trochę dziwnie postępuje. Powinien był choć zapytać się przed oficjalnym wystąpieniem. No, tak, żołnierz idzie zawsze na pewnego. Jak to kiedyś powiedział... wiara w zwycięstwo...

nie, tak nie, aha... żołnierz zwycięża wtedy, gdy ma wiarę w zwycięstwo. Pewny jest, że ma jej wzajemność. No, tak, tego nie mógł nie zauważyć.

Kończy szybko obiad, myje się, a potem otwiera szafę. Którą ubrać? Ta za skromna. W tej nie jest jej do twarzy. Ta niemodna już. Tamta będzie najodpowiedniejsza. Ciemny kolor jest wprawdzie trochę za poważny, ale ta najlepiej „leży” i uwydatnia smukłą figurę. Zresztą nie wie przecież, że przyszedł z oświadczynami.

Przebiera się i staje przed lustrem. Fryzura nie jest już „najświeższa”. Ze też nic przedtem nie powiedział. Wstąpiłaby do fryzjera i byłoby po kłopotach. Trzeba jednak poradzić sobie. Naciska guzik w ścianie.

— Moja Kasiu, prędko lokówkę.

Wreszcie jest już gotowa.

— Czy jest kto z panem rotmistrzem?

— Pani prezesowa i panna Krysia. Są w salonie. Panienko, jak ja się cieszę. To taki szykowny oficer. Mój nieboszczyk Walenty, to też...

Ella traci panowanie nad sobą. Ścisła Kasię, a potem wychodzi z pokoju. Drzy cała. Serce wali. Rumieniec występują na twarzy.

Jak się zachować? Co odpowiedzieć? Jak przyjąć jego? Może wypada kazać mu czekać na odpowiedź? Należało porozumieć się przedtem z mamą? No, tak, nie wiedziała przecież, że to już dziś.. Ze też nic nie powiedział!

Wchodzi do stołowego i już tu słyszy jego głos. Wszystkie drzwi są otwarte naocież. Idzie dalej. Grube, puszyste dywany tłumią jej kroki. Staje w gabinecie. Widzi go stąd przez kryształową kotarę, wiszącą w drzwiach. Rozmawia z mamą. Uśmiecha się. Zauważył ją.

— A, panna Ella

— woła, wstając. Krysia wybiega. Rzuca się jej na szyję i całuje ją serdecznie.

— Elluchno, jakim szczęśliwa! Stef poprosił o moją rękę.

Nie mówiłam nikomu o tem, bo postanowiliśmy ze Stefem zrobić wam niespodziankę.

Rozszerzonymi oczyma wpatruje się

Ella w promieniejącą szczęściem twarz siostry. Blednie. Słyszysz jakiś łoskot, huk straszliwy. Coś wiruje nad głową i wali z trzaskiem na ziemię. Nie, nic nie spadło. To ona osunęła się na ziemię.

Budzi się w swoim pokoiku. Matka i Krysia są przy niej. Siostra całuje ją czule.

— Elluś, czy nie wyrządziłam ci przykrości?

— Nie, Krysiu. Przeciwnie, cieszę się bardzo. Zrobiliście mi naprawdę... wielką niespodziankę.

— To dobrze, Elluś, bałam się bowiem, że...

— Nie, to nie z tego powodu. Byłam z koleżankami w cukierni i widocznie ciastka musiały być stare. Idźcie, tam Stef napewno niecierpliwi się. Odpocznę jeszcze chwilę. Niech mi Kasia przyniesie kropli.

— Tak, panienko, swój rozum mam i zawsze mówiłam, że bez te cukiernie panienkę jeszcze jakaś przykra niespodzianka spotka. Niech-no panienska wypije to lekarstwo, a za kwadrans będzie znowu na placu.

— Dobrze. Dziękuję. Wypiję za chwilę. Niech Kasia zgasi światło.

Kasia wychodzi na palcach. „Panienska” uśmiecha się do niej, a kiedy drzwi zamknęły się, odstawia lekarstwo. Po chwili dwie duże łzy zaświeciły w jej oczach.

Eryk Wilk



— No, co się stało? — Kasia uśmiecha się. — O, niechno panienska spojrz, o tu.

Z życia katolickiego

TELEGRAM

Jego Ekscelencja Ksiądz Biskup Laubitz
Gniezno.

Poznań, 28 kwietnia 1935.

Na zakończenie Roku Jubileuszowego, rdzennie polskie i katolickie stołeczne miasto Poznań śle myśli swoje do kolebki państwa polskiego i u grobu św. Wojciecha prosi Pana Najwyższego o pokój między narodami, błogosławieństwo dla całego narodu i zapanowanie prawdziwego ducha chrześcijańskiego w duszach i czynach naszych.

Erwin Więckowski, prez. miasta.

Bractwo Jednego Kartofla. Wiadomo, jaka nędza trapi wieś polską. Zgnębieni nią włościanie grecko-katolicy powiatu jaworowskiego w Małopolsce Wschodniej rzucili myśl utworzenia „Bractwa Jednego Kartofla”. W każdej parafii proboszcz prowadzi listę najbardziej głodujących. Dzieci i młodzież zbierają po domach po jednym

ziemniaku dziennie, t. j. po 7 ziemniaków na tydzień. Ziemniaki muszą być zdrowe. Przy sposobności ten i ów ofiaruje coś więcej a zdarza się, że da i podniszczoną odzież lub obuwie. Zabrane zapasy gromadzi się na plebanji, tam się je rozdziela między najbardziej potrzebujących i znowu młodzież roznosi je po wsiach i chatach.

Bolesne to zjawisko, że dla ratowania przymierających głodem trzeba zbierać po jednym ziemniaku dziennie od rodziny ale jednocześnie pocieszające, bo świadczy wymownie, że nawet przy tak skrajnej nędzy nie wygasa miłość bliźniego, a ludzie wspierają się, jak mogą, i jak im na to pozwalają niezwykle ciężkie warunki.

Prasa katolicka w Niemczech zagrożona. Nowe rozporządzenie prasowe w Niemczech zwraca swoje ostrze głównie

przeciwko dziennikom wyznaniowym, zarówno katolickim jak protestanckim. Zagrożone są między innymi takie potężne dzienniki jak „Germania” i „Koelnische Volkszeitung”, które, stojąc na stanowisku katolickim, cieszyły się wielką poczytnością wśród katolików. „Germania” ma za sobą 65 lat istnienia, a „Koelnische Volkszeitung” 75. Wobec tego Nuncjusz Apostolski Ks. Arcybiskup Orsenigo udał się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, aby przedstawić ministrowi Neurathowi, że nowe rozporządzenie prasowe jest wyraźnym pogwałceniem konkordatu zawartego między Stolicą Apostolską a Rzeszą Niemiecką. Trzeba też dodać, że tygodniki diecezjalne w Niemczech ulegają częstym konfiskatom. Rząd rozwiązuje również katolickie towarzystwa, założone dla popierania prasy katolickiej. Niedawno aresztowano opata słynnego opactwa Maria Laach, które pielęgnowało w sposób uznania godny katolicką sztukę.

Dwa światy

Byłem w Poznaniu na targach. Czyby to już kryzys się kończył? Towarów bowiem było tyle, że oczy nie wiedziały, co wprzód oglądać. A ludzi zwiedzających takie mnóstwo, iż trudno było przecisnąć się. Dałby Pan Bóg, aby taki sam ruch targowy uczynił się w całym polskim handlu i przemyśle i rolnictwie i rzemiośle. Wyszędzszy z targów spotykam wielki pochód.

— Co to? — pytam.

— To pogrzeb posła od robotników.

Stanąłem, by przypatrzeć się pochodowi. Na czele jechali konni policjanci. Potem widziałem Orła białego, ale nie widziałem krzyża. Potem niesiono wieńce. Naliczyłem ich około 40. Piękne, wielkie wieńce. A za każdym szły organizacje robotnicze, czy też inne — szli mężczyźni, szły kobiety i szły biedne katolickie dzieci. A potem karawan z trumną i znowu wiele wieńców. A zamiast koni — o dziwo — bracia robotnicy ciągnęli go przez ulice miasta. Za trumną rodzina, władze, przyjaciele, posłowie i inni.

Zmarły był posłem i, jak stale podkreślano wśród koło mnie stojących, bardzo społecznie działał. Ja w tem nie widzę nic nadzwyczajnego, że bardzo społecznie pracował. Nasz naród ma 30 milionów ludzi, a zaledwie garstkę posłów. Któż ma dobrze czynić i społecznie działać, jeżeli nie człowiek mający tak ogromne wpływy i tak wielki zasięg władzy jak poseł. Przecież to jego obowiązek. Wreszcie sam chciał być posłem, starać się o dobro obywateli. Na to za nasze wspólne podatki wyposażamy go tak dostatnio, by nie miał zwykłej troski o chleb powszedni, by nie miał żadnych innych obowiązków jak tylko ten jeden, żeby starał się o dobro ogółu. I Bogu dzięki, chwalić mu to, że zdaniem swych wcale licznych, jak się zdaje, zwolenników, wywiązywał się z przyjętych na siebie obowiązków. Dobre jego uczyn-

ki będą teraz tym nie psującym się przez rdzę i mole skarbem, którego mu nikt nie ukradnie i z którym stanie na sądzie Bożym! Jak serdecznie cieszylibyśmy się wszyscy, gdyby miał podobne zasługi około Kościoła i wiary.

Pogrzeb cały zamienił się w wielką manifestację. Długo stałem i długo przypatrywałem się temu pochodowi. Jakoś jednak dziwnie smutnie i dziwnie przygnębiony tą wielką manifestacją wracałem do domu. Pogrzeb bowiem, jak się dowiedziałem, miał iść na cmentarz niemiecki, cmentarz protestancki. A zmarły dobrych, poczciwych, katolickich miał rodziców, był posłem polskiego ludu i nigdy akcesu nie zgłaszał do zboru niemiecko-protestanckiego.

— Czemu więc — pytałem — akurat na cmentarz protestancki? Czemu prowadzi się tak ogromnym pochodem tego polskiego posła, tę gromadę polskich dzieci, symbol państwa, naszego białego orła na niemiecki cmentarz? Kto podsunął tę nieszczęsną myśl?

Czy już zapomnieliście, że każdy zbor protestancki w naszym mieście z wszystkim, co do niego należy, był jawną jacejkę żelaznego kanclerza i czeredy Tiedemanna, dławiącej bezlitośnie wszelkie życie na naszych wielkopolskich ziemiach?

Czy nie pojmujecie tej krzywdy, jaka nam wciąż jeszcze się dzieje, że najpiękniejsze place naszego prastarego i prakatolickiego Grodu Przemysława zajęte są przez owe gmachy i owe protestanckie zbory, które miały nas wynaradawiać, lutrzyć i germanizować?

Ach, jak krótka jest nieraz pamięć ludzka! Gdzie wasz instynkt narodowy, skoro posła do sejmu polskiego, syna polskich i katolickich rodziców, chowacie w ziemi należącej do zborów o tak wrogiej nam przeszłości? Zmarły chyba w grobie się przewróci, że na takim pochowaliście go miejscu. Ciche ustroenie leśne, wolna ziemia polska, nie bę-

dać w posiadaniu obcem, skoro już innej nie było możliwości, byłaby lepszym miejscem, aniżeli to miejsce pod płotem niemieckiego cmentarza. Tak się nie chowa Polaka i posła do sejmu polskiego!

I cóż z tego, że nieboszczykowi tak wspaniały wystawiliście pochód? Czy zdołacie wynagrodzić mu krzywdę eskortą honorową policji, udziałem władz i dostojnych przyjaciół, 40 wieńcami i licznymi przemówieniami? Choć to wszystko zrozumiałe, bliskie i ludzkie, czy lepiej nie było tej wielkiej manifestacji i licznych przemówień zaniechać?

Przecież śmierć sama, zwłaszcza jak w tym wypadku nagła i niespodziewana, najlepszym jest mówcą i kaznodzieją!

Bo czyż to nic nie znaczy, że cały świat chrześcijański, jak długi i szeroki, od wieków w suplikacjach w obliczu Przenajsw. Sakramentu tę jedną zawsze zanoszą prośbę do Boga: Od nagłej i niespodziewanej śmierci zachowaj nas Panie!

Czyż to nic ci nie mówi, że ona wejdzie do twego domu nie zapukawszy nawet do drzwi! Że się w naszym domu zjawia niespodzianie nie przysławszy przedtem swych sekundantów: choroby i cierpienia?

Czy was nie wzrusza i nie napęlnia lękiem bojaźliwości, że spada jak piorun z pogodnego nieba na biedną ludzką duszę? „Jeżeli drzewo upadnie na południe albo na północ, na którymkolwiek miejscu upadnie, tam leżeć będzie.” Czy dobrze rozumiesz te słowa, wyjęte z Pisma św. Eccl. 11.?

Jeżeli śmierć w ten sposób okrutny choć raz jeden nasza tve domowisko i zabrała ci drogą, bliską osobę, bądź przekonany, że aż do końca życia nie pozbędziesz się tego wspomnienia.

Nie móc umrzeć, to rzecz smutna! Ale stokroć gorzej, gdy umieramy za nagle, zanadto niespodzianie, nie zdoławszy przygotować się na spotkanie z Sędzią! Śmierć taka zawsze robi bałagan.

Ks. Kardynał Bertram z Wrocławia, przewodniczący Konferencji biskupów niemieckich, wydał świeżo list pasterski, w którym wyraźnie pisze, że społeczeństwo katolickie w Niemczech czekają trudne chwile. Nadszedł bowiem okres bardzo poważnych walk religijnych, wywołanych przez narodowy socjalizm, szerzący germańską religię w duchu pogańskim, wrogim religii katolickiej.

W sferach watykańskich rozważana jest możliwość oficjalnego protestu Ojca św. przeciw szykanom, na jakie ze strony władz niemieckich narażoną została pielgrzymka młodzieży niemieckiej powracająca z Rzymu.

Ojciec św. surowo potępił te gwałty nad młodzieżą niemiecką, mówiąc do nowej pielgrzymki niemieckich katolików: „Ufam, że wy, pielgrzymi do Rzymu i Watykanu, przy powrocie swoim do ojczyzny lepiej będziecie przyjęci i potraktowani, niż ta pobożna i dzielna młodzież wierna Kościołowi i ojczyźnie, która niedawno przybyła do Nas, swego wspólnego Ojca. Wspominamy ją i mówimy o niej wobec całego

Ale nic łatwiejszego, jak uporządkowanie bałaganu, który przez śmierć taką powstaje tu na ziemi. Życie samo bardzo prędko z nim się załatwi. Gorzej z tym drugim bałaganem, który niesiemy na sąd Boży. Bo śmierć nie końcem, lecz jest dopiero początkiem!

A pogrzeb chrześcijański? Ja osobiście wolałbym leżeć w najprostszej trumnie, nie mieć nikogo z krewnych lub znajomych na pogrzebie, byle mieć na nim tę najpiękniejszą ozdobę każdego chrześcijańskiego pogrzebu, jaką jest Pan Jezus. Zbawiciel, kroczący na czele pogrzebu i prowadzący zwłoki do zmarłych sióstr i braci na święcone miejsce ostatniego spoczynku. Wszak przed tym krzyżem każdy zdejmuję z pokorą kapelusze, każdy, nawet niekatolicki człowiek, przed tym krzyżem westchnie do Boga o zmiłowanie dla nieboszczyka. Nawet dwie huczne orkiestry nie zastąpią takiego westchnienia!

Bolało nas katolików zawsze i serdecznie, że nie mogliśmy pracować ze zmarłym ramię przy ramieniu na wspólnym froncie. Otwarcie to trzeba powiedzieć dzisiaj, gdy głębokim żalem przygnębionej rodzinie z tego miejsca serdecznie wyrażamy współczucie. Otwarcie trzeba też wyznać, że tak Kościołowi jak i nam wszystkim byłoby milej i byłoby wygodniej, gdyby zmarły nie był zeszedł z tego świata tak nagle i gdyby sprawę, która tyle wam i nam sprawiła kłopotu, własną niedwuznaczną decyzją, jasno postawił. Bóg niestety inaczej rozporządził właśnie w maju, w miesiącu Najświętszej Pani, co też w całej tej sprawie zdaje się, nie jest bez znaczenia.

„Więc czemuście nie dali chrześcijańskiego pogrzebu?” Na to pytanie innym odpowiadam pytaniem: „Czemu nie mogliście dostarczyć dowodu, że zmarły zachowywał się wobec Kościoła, jak się godzi zachowywać katolikowi? Czemuście, milcząc na to pytanie Kościoła, Kościołowi sami przyznali słusność? Przecież w podobnym wypadku wcale niedawno, w głośnym na całą Polskę pogrzebie, Kościół musiał postąpić

świata katolickiego i cywilizowanego z szacunkiem i pochwałą.”

Antyreligijne harce socjalistów w dniu 1-go maja. Tegoroczne pochody socjalistyczne w dniu 1-go maja, jak to stwierdza cała niemal prasa, były jeszcze mniej liczne, niż w roku ubiegłym. Brak starszych zapewne chciano uzupełnić dziećmi. W Warszawie ze zdumieniem publiczność przyglądała się pochodowi socjalistycznemu, w którym szły dzieci w wieku od lat 6—12. Dzieciom kazano nieść transparenty z napisami antyreligijnymi. W Częstochowie w dniu 1-go maja zdarzył się wypadek, który wywołał powszechne oburzenie w katolickim społeczeństwie. Mianowicie w dniu tym wezwano do konającej staruszki księdza z katedry. Dorożkarz jechał, jak zwykle w tych wypadkach, z odkrytą głową, a ludzie zdejmowali czapki i przyklekali. Na ul. Stradomskiej dorożka napotkała pochod socjalistyczny. Pierwsi z szeregów zdjęli nawet czapki, lecz inni poczęli krzyknąć: „Stój! Zatrzymać go!” Jeden z uczestników pochodu podbiegł do dorożkarza, chwycił za

się najjaśniejszą, pięknie i daleko promieniącą aureolą, zaćmiewaną dziś jakby umyślnie. Oby, gdy akta te poczną mówić, już nie było za późno.

I jeszcze coś innego nas także boli. Na tym pogrzebie, jakieś nieczne usta, łatwo się domyślić które, puściły potworną wieść, że nie pochowano ś. p. posta na cmentarzu katolickim tylko dlatego, że rodzina nieszczęśliwa jakoby nie mogła zapłacić zawrotnej sumy sięgającej 3000 zł. Widzicie, jak to zaraz na poczekaniu potrafi się zohydzać ludzi niewinnych, skoro pewnym kołom stają się niewygodni. A przecież w ciągu pertraktacji pogrzebowych ani słowem nie potrącono o kwestje finansowe...

Tegoż jeszcze dnia musiałem w pewnej sprawie wyjechać na wieś. Jaki tam inny świat! Idę przez wieś; na ławie przed domem siedzi staruszek i przesuwa ziarnka różańca, wpatrzony w niebo. Sady jakoby pokryte śniegiem od kwitnących jabłoni, grusz i czereśni. Z pobliskiego zagajenia odzywa się nieśmiały śpiew słowika. Słońce zachodzi i rzuca złote blaski na strzechy słomiane, ogrody i pola.

Z pobliskiego kościółka wołają dzwony na majowe nabożeństwo. Ołtarz tonie w świecach i kwiatach. Kościół pełen ludu. Wpatrzni w złocistą monstrancję i w figurę Matki Boskiej śpiewają głośno, mocno, serdecznie litanję loretańską. Wtem kapłan od ołtarza rozpoczął czytanek majową o człowieku, który przez szereg lat zdala żył od Kościoła, ale w ostatniej godzinie znalazł miłosierdzie Boskie za pośrednictwem Najświętszej Panny. I polecał kapłan wiernym, by modlili się o nawrócenie błędzących i o zbawienie ginących, zwłaszcza nagłą śmiercią, do Tej, która jest Domem Złotym i Ucieczką Grzesznych i Ostatnią Nadzieją Umierających!

Gdy wychodziłem z kościoła, cisza była na wsi, głęboka, wonna i święta, i tylko słowik z pobliskiego gaju śpiewał pieśń wieczorną Panu i gwiazdy świeciły na niebie, jasne, odwieczne gwiazdy...

Widzicie, to jest to, co nas tak bardzo boli, że nie widzimy u nowych ludzi żadnego uznania, tak, jakbyśmy byli wyrzutkami a nie najlepszymi synami naszej kochanej, waśnią bratnią tak pokłóconej ojczyzny. Wielkopolanin (podobnie jak Pomorzanie) nie lubi i nie umie się chwalić, ale Wielkopolanin wierzy w sprawiedliwość dziejową, wynagradzającą wszelkie poświęcenie i wszelką uczciwą pracę. Wielkopolanin wierzy, że nadejdzie czas, kiedy otworzą się akta tajne, dotąd spoczywające w zakurzonych archiwach, kiedy ta bohatera generacja, dziś stojąca nad grobem, generacja naszych ojców i starszych braci, naszych dawnych Sokołów i owych seniorów weteranów, opiekujących się z wielką ofiarnością spiskującą wielkopolską młodzieżą, generacja patriotycznych ziemian, kupców, kapłanów, rolników i robotników, a przede wszystkim generacja sędziwych dziś matron-bohatek okryje

się najjaśniejszą, pięknie i daleko promieniącą aureolą, zaćmiewaną dziś jakby umyślnie. Oby, gdy akta te poczną mówić, już nie było za późno.

I jeszcze coś innego nas także boli. Na tym pogrzebie, jakieś nieczne usta, łatwo się domyślić które, puściły potworną wieść, że nie pochowano ś. p. posta na cmentarzu katolickim tylko dlatego, że rodzina nieszczęśliwa jakoby nie mogła zapłacić zawrotnej sumy sięgającej 3000 zł. Widzicie, jak to zaraz na poczekaniu potrafi się zohydzać ludzi niewinnych, skoro pewnym kołom stają się niewygodni. A przecież w ciągu pertraktacji pogrzebowych ani słowem nie potrącono o kwestje finansowe...

Tegoż jeszcze dnia musiałem w pewnej sprawie wyjechać na wieś. Jaki tam inny świat! Idę przez wieś; na ławie przed domem siedzi staruszek i przesuwa ziarnka różańca, wpatrzony w niebo. Sady jakoby pokryte śniegiem od kwitnących jabłoni, grusz i czereśni. Z pobliskiego zagajenia odzywa się nieśmiały śpiew słowika. Słońce zachodzi i rzuca złote blaski na strzechy słomiane, ogrody i pola.

Z pobliskiego kościółka wołają dzwony na majowe nabożeństwo. Ołtarz tonie w świecach i kwiatach. Kościół pełen ludu. Wpatrzni w złocistą monstrancję i w figurę Matki Boskiej śpiewają głośno, mocno, serdecznie litanję loretańską. Wtem kapłan od ołtarza rozpoczął czytanek majową o człowieku, który przez szereg lat zdala żył od Kościoła, ale w ostatniej godzinie znalazł miłosierdzie Boskie za pośrednictwem Najświętszej Panny. I polecał kapłan wiernym, by modlili się o nawrócenie błędzących i o zbawienie ginących, zwłaszcza nagłą śmiercią, do Tej, która jest Domem Złotym i Ucieczką Grzesznych i Ostatnią Nadzieją Umierających!

Gdy wychodziłem z kościoła, cisza była na wsi, głęboka, wonna i święta, i tylko słowik z pobliskiego gaju śpiewał pieśń wieczorną Panu i gwiazdy świeciły na niebie, jasne, odwieczne gwiazdy...

Gdy wychodziłem z kościoła, cisza była na wsi, głęboka, wonna i święta, i tylko słowik z pobliskiego gaju śpiewał pieśń wieczorną Panu i gwiazdy świeciły na niebie, jasne, odwieczne gwiazdy...

Gdy wychodziłem z kościoła, cisza była na wsi, głęboka, wonna i święta, i tylko słowik z pobliskiego gaju śpiewał pieśń wieczorną Panu i gwiazdy świeciły na niebie, jasne, odwieczne gwiazdy...

Gdy wychodziłem z kościoła, cisza była na wsi, głęboka, wonna i święta, i tylko słowik z pobliskiego gaju śpiewał pieśń wieczorną Panu i gwiazdy świeciły na niebie, jasne, odwieczne gwiazdy...

Gdy wychodziłem z kościoła, cisza była na wsi, głęboka, wonna i święta, i tylko słowik z pobliskiego gaju śpiewał pieśń wieczorną Panu i gwiazdy świeciły na niebie, jasne, odwieczne gwiazdy...

sztylet i biegnie do kościoła Monserrato. O. Claret znajduje się właśnie w konfesjonału. Ów człowiek przystaje w pobliżu. Szczelnie otula się płaszczem — od czasu do czasu spogląda ponuro w stronę duszpasterza. W pewnej chwili wychyla się O. Claret z konfesjonału. Uprzejmie prosi go, by przystąpił bliżej. Nieznajomy jakoś nie potrafi się oprzeć. I wówczas z wielką łagodnością przedstawia mu O. Claret całą brzydotę i nikczemność smutnego jego zamiaru, a w końcu dodaje z wielką słodyczą: „Uczyn jednakże, jak zamierzasz — wybaczam Ci zgóry wszystko!” Straszne, okropne lkanie jest jedyną na to odpowiedź. Powoli uspokaja się pod wpływem cichych, dobrych słów O. Clareta. A potem skruszony spowiada się szczerze i uczciwie i opuszcza kościół nad wyraz szczęśliwy, zupełnie z Bogiem pojednany.

Spowiedzi świętej słuchał O. Claret nie tylko w kościele, ale bardzo często w swoim prywatnym mieszkaniu. Zazwyczaj przychodzili do jego domu ciężsi grzesznicy oraz tacy, którzy z obawy przed opinią ludzką unikali konfesjonału w miejscu publicznym. Pod takim pozorem zbliża się do niego pewnego dnia jakiś nieznajomy. Na judaszowskie jego pozdrowienie odpowiada O. Claret spokojnie: „Synu, odłóż w pierw swój sztylet, on ci niepotrzebny do spowiedzi”.

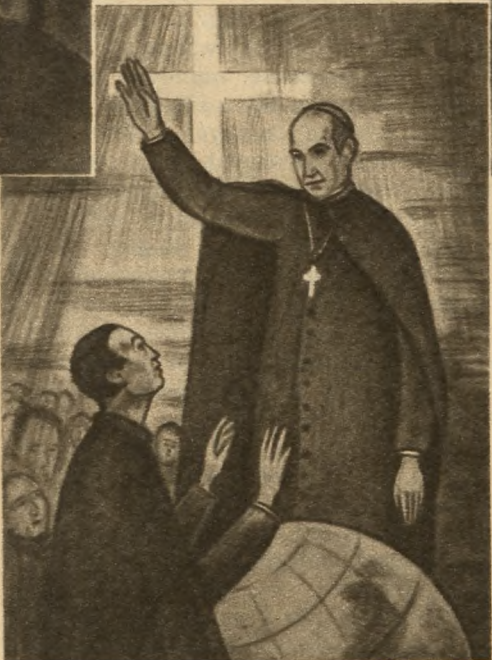
Niegodząc wiec zrozumiał z przerażeniem, że arcybiskup go przejrzał. Próbuje jednak uciec się do kłamstwa, fałszywych przysięg i zapewnień. Wówczas O. Claret wyjawia mu z całą dokładnością, gdzie i kiedy kupił swe narzędzie mordercze. Łotr zawstydzony pada przed nim na kolana, oddaje mu sztylet i prosi o wysłuchanie spowiedzi.

Łoża masoniska postanawia nieodwołalnie jego zgładzenie. Na dzień jego śmierci wyznaczono 15 października 1859. Młody człowiek, którego los przeznaczył na wykonawcę wyroku, wchodzi o zmroku do kościoła św. Józefa przy ul. Alcala. Tutaj chce dokonać swego dzieła. Pod chórem czeka cierpliwie dobrej sposobności. Mija kwadrans jeden i drugi... Nagle wychodzi ze swego ukrycia. Znać po nim silne

wzburzenie. Szybkim krokiem przemierza kościół — idzie do zakrystji. Prosi o natychmiastową, choć krótką rozmowę z O. Claretem. O. Claret przyjmuje go z wielką dobrocią i cierpliwie, spokojnie wysłuchuje



Mąż pióra, błg. Claret to mąż modlitwy, twórca zakonu liczącego 3000 towarzyszy, i wreszcie seraf akcji katolickiej wskazujący drogę błędzącej ludzkości.



straszego wyznania młodzieńca. „Ojciec, jestem ostatnim nikczemnikiem! Przyszedłem poto, by zamordować świętego! Łoża masoniska dała mi to zlecenie. Jeśli nie uczynię tego w przeciągu 40 dni, sam jestem zgubiony. Już nieraz sam dokonywałem takich wyroków na innych opieszalych członkach naszego związku”.

A co czyni świętobliwy duszpasterz? Ścisła i całuje go jak brata najmilszego i jest mu ponadto pomocny tak, że młodzian szczęśliwie uchodzi przed zemstą masonów.

Oto kilka urywków wyjętych na chybił trafił z tego przebogatego w nadzwyczajne wydarzenia misjonarskiego życia. 25 stycznia został policzony w poczet błogosławionych! Niezadługo zapewne ogłoszą jego świętość. Lecz niełatwo ją zdobył. Wystarczy uważnie spojrzeć na jakikolwiek obraz z ostatnich

dni jego życia, a bez trudu przeczytać można z rysów twarzy przeoranej okropną blizną całą Gólgotę życia tego niezmordowanego apostoła. Wprawdzie w oczach, zapatrzonych w głębokiej zadumie gdzieś w zaświaty, lśni odblask nieziemskiego,

jakiegoś szczęścia, lecz czoło zorane i usta mówią o niezliczonych ofiarach, o ukrytych cierpieniach, o cichem męczeństwie i o żmudnej, uciążliwej pracy, pełnej ciągłych poświęceń i bohaterskiego zaparcia się siebie.

Minęło więcej niż pół wieku od dni owych. Umarli jego prześladowcy; zapomniał o nich świat. Nikt nie pamięta ich nazwisk. Lecz na błg. Claretie, naszym drogim Świętym z blizną na twarzy, wypełniły się słowa Pisma św.: „Pamięć sprawiedliwego nie zginie na wieki!”

Piękna postać świętego z blizną na twarzy jaśnieć będzie poprzez wszystkie stulecia.

II

Hallo! Hallo! Co słycać?!

* Foksik, który zwyciężył lwa. W jednym z pism przyrodniczych opowiada angielski podróżnik niezwykłą przygodę. Było to w jakiejś zapadłej, murzyńskiej wiosce, w głębi Afryki. Któregoś dnia spójność mieszkańców zamąciła wieść, że lwy są w pobliżu. Zawrzało, trzeba bowiem wiedzieć, że lwia grzywa jest najpiękniejszą ozdobą. Ruszono więc na łowy. Wziął w nich także udział nasz podróżnik uzbrojony... w aparat kinematograficzny z małym foksikiem „Pipem”. Krajowcy natychmiast zabrali się do wypłaszania lwa. „Król pustyni” jednak ryczał przeraźliwie i za żadną cenę nie chciał opuścić swej kryjówki. Zanepokoilo to murzynów.

W małym tymczasem „Pipie” krew kipiała. Nie mógł już dłużej wytrzymać, zerwał się ze smyczy i rzucił się na lwi... ogon, wpił mocno w niego zęby i za żadne skarby świata nie wypuściłby go. Lew szalał, ryczał, gonił jak wściekły za własnym ogonem. Tę chwilę wyzyskał jeden z krajowców i wbił mu oszczep w samo serce. Grzywą jednak lwa nie ozdobił się żaden z dzielnych Massajów, Simbę pokonał bowiem — jak wszyscy zgodnie orzekli — mały foksik „Pip”.

* Chcą zmienić słowa pieśni „Jeszcze Polska nie zginęła!” Warszawski „Express Poranny”, propaguje od szeregu tygodni hasło zmiany słów naszego hymnu narodo-

wego. W odpowiedzi na to, cała prasa polska jednomyślnie orzekła się przeciw temu, podkreślając, że cały właśnie urok hymnu tkwi w tem, że śpiewamy pieśń, która tak samo porusza nasze serca, jak i tych pokoleń, które już minęły.

Służmy dobrej sprawie!

Zgromadzenie S. S. Najśw. Rodziny (Nazaretanki) prowadzi już od roku w Ostrzeszowie Wlkp. dobrze postawione gimnazjum żeńskie nowego typu. Przy zakładzie jest również internat dla zamiejscowych i niezdolnych uczennic. Ufamy, że społeczeństwo poprze nową placówkę naukowo-wychowawczą, przejętą duchem katolicyzmu i polskości.

RENÉ BAZIN

MAGNIFICAT

POWIEŚĆ

12)

Zadnej innej myśli w nim nie było. Kiedy jednak ręką namacał mur, który wydał mu się jakiś dłuższy niż ściana któregoś z domostw, przypomniał sobie nagle, że mógł to być tylko mur odgradzający ogród plebanji. Doszedłszy więc do narożnika skrzył trochę, aby odnaleźć drzwi i zadzwonił.

— Jestem ciężko chory — pomyślał — mogę umrzeć; potrzeba mi pomocy. Za drzwiami usłyszał krótką rozmowę:

— Ktoś dzwoni, Agnieszko, trzeba otworzyć.

— Słyszę, księżo proboszczu. Ale o tej godzinie! Wszak to już po dziesiątej!

— Wszystko jedno; trzeba otworzyć. Jestem w domu, może mnie wzywają do chorego.

Był to ktoś tak dalece chory, że gdy Agnieszka otworzyła drzwi, ujrzała człowieka, leżącego wprost na progu. Obok niego leżała strzelba i naszyjnik z kaczek. Usłyszała też, a może odgadła z trudem wyszeptane słowa:

— Powiedźcie księdzu, że Piotr Maguern prosi o Sakramenta święte, bo umiera...

W pół godziny później Piotr, przewieziony na wózku do domu przez liściwego sąsiada, spoczywał w łóżku. Naftowa lampa oświetlała obszerną, lecz prawie całkiem pozbawioną sprzętów izbę. Kapłan odchodził po udzieleniu ostatnich Sakramentów choremu, który napół tylko był przytomny i z największym trudem, kilka razy przerywając, wyszeptał:

— Poślijcie po Annę... jest w Vanes... u krewnej... obok kościoła Ś-go Wincentego...

Słońce już wysoko było na niebie, gdy Anna Maguern wracała do fermy, z którą się ostatniego ranka rozstała.

Ojciec leżał wyciągnięty na łóżku, oczy miał zamknięte, twarz nabiegłą krwią. Zdawało się, że śpi, lecz od czasu do czasu pojękiwał boleśnie i trudno było odgadnąć, czy usiłował mówić i co mianowicie chciał powiedzieć, bo tylko bezdźwięcznie poruszał ustami. Anna kilkakrotnie pochylała się do ojcowego ucha, zagłębionego w poduszki:

— Jestem przy tobie, ojczulku; już cię nie opuszczę! Odezwij się do mnie choćby najciszej: usłyszę wszystko!

Zadnego znaku przytomności. Oczy pozostały zamknięte. Widać było tylko ruch gałek ocznych pod nabrzmiałymi i nabiegłymi krwią powiekami.

Do trzeciej po południu leżał Piotr nieprzytomny i bez słowa. Lecz w chwili, gdy przez małe okienko od strony zachodu wpadł do izby jasny promień słońca, spostrzegła Anna, która w tej właśnie chwili obróciła się w stronę łóżka, że ojciec ma oczy otwarte. Zbliżyła się. Chory czynił tak szalony wysiłek, by się upewnić, że to rzeczywiście jest ona, że wszystkie mięśnie twarzy miał napięte, a oczodoły, w których błyszczały rozgorączkowane oczy, głębsze stały się niż zwykle.

Dziewczyna pochylała się nad ojcem. Wpatrywał się w nią długo, uporczywie, nie mrugnawszy ni razu. I wnet

usta otworzył i z trudem, lecz głosem mocnym, wyrzekł sześć wyrazów:

— Nie waz się iść przeciwko Bogu!

Nie było odpowiedzi. Anna wzruszona i do głębi wstrząśnięta oddaliła się trochę, namyślając się co powiedzieć. Gdy stanęła przy ojcu, oczy jego znów były zamknięte i tylko gałki oczne nie przestawały ruszać się pod powiekami. W izbie zapanowała cisza, przerywana tylko chwilami jękiem chorego, którego siły słabły z minuty na minutę.

Wezwany telegraficznie lekarz nie zdążył przybyć na czas; przed wieczorem Piotr Maguern zakończył życie.

Na trzeci dzień kilkunastu mieszkańców wyspy odprowadziło do kościoła ciało zmarłego. Przybył też z Muzillac brat jego, Jan, który zaraz po eksportacji odjechał. Ze jednak kochał on Annę, biedną Annę w pożyczanym szalu żalobnym, Annę, tak bardzo teraz nieszcześliwą, rzekł jej przy pożegnaniu:

— Jesteś teraz zupełną sierotą, biedactwo. Jeśli taka twoja wola, możesz zostać z nami. Załatwij swe sprawy i wracaj do Penmur.

Spojrzał serdecznie na piękne dziewczę całe we łzach, które do siebie mówiło:

— Prawdę rzekł, żem sierotą. Lecz nietylko sierotą, bom i wdową...

X.

Moc woli.

W cztery dni później, gdy ciało Piotra Maguern spoczęło w cieniu starych wiązów, na poświęconej ziemi obok ko-



Bożate wnętrze kościoła św. Florjana w Krakowie.

750-lecie kolegiaty św. Florjana w Krakowie

W Krakowie, na północ od bramy Florjańskiej, na Kleparzu, za pomnikiem Władysława Jagiełły wznosi się piękny kościół św. Florjana. Może nie wszyscy wiedzą, że w kościele tym znajdują się szczątki św. Florjana, męczennika, który 4 maja 303 r. za srogiego cesarza rzymskiego Dioklecjana wycierpiał srogie katusze a potem, z przywiązaniem do szyi kamieniem młyńskim, utopiony został w rzece Enns w dzisiejszej Austrii.

Ciało jego przeniesiono do Rzymu. Część relikwii otrzymała Bolonia a resztę Polska. Stało się to za panowania Kazimierza III. Sprawiedliwego, który wysłał do papieża poselstwo z biskupem krakowskim Gedeonem na czele, prosząc o relikwie Świętego, któryby był dla Polski obrońcą i Patronem. Papież Lucjusz III dał Polsce relikwie św. Florjana i wysłał z nimi osobnego swego legata, biskupa Idziego z Modeny.

Dnia 6 listopada 1184 z wielką uroczystością przyjął król ten dar drogocenny i umieścił go w kościele na Kleparzu.

Kościół św. Florjana różne przechodził koleje. Niszczyły go liczne pożary. Z pierwszego kościoła nie zostało śladu. Dzisiejszy pochodzi z XVIII wieku. Posiada jednak prócz relikwii św. Florjana, rzeźbę, przedstawiającą 4 obrazy z życia św. Jana Ewangelisty, a uchodzącą za dzieło Wita Stwosza, dwa piękne obrazy Jana Süssa z Kulmbachu, słynnego malarza niemieckiego († 1522), chorągiew z uroczystości kanonizacyjnych św. Jana Kantego (1767) umieszczoną w osobnej kaplicy tego Świętego, który był kantorem kolegiaty.

Na stanowisku prepozytów kolegiaty byli najwybitniejsi mężowie, późniejsi biskupi, arcybiskupi i prymasi jak: Bodzanta, Mikołaj z Kurowa, Mikołaj Trąba, Zbigniew Oleśnicki, Andrzej Krzycki, Jan Przerębski.

Dnia 4 maja b. r., w uroczystość św. Florjana, kolegiata św. Florjana obchodziła niemały jubileusz — 750 swego istnienia. Niewiele kościołów w Polsce poszczycić się może tak dawną tradycją. Ks. Prałat Niemczewski obecny prepozyt, dołożył wszelkich starań, aby godnie uświetnić ten jubileusz sprowadzenia do Polski zwłok św. Florjana i utworzenia kolegiaty ku czci tego Patrona Polski.

ściola, wracała Anna tam, gdzie za skalistym pasem wybrzeża ciągną się faliste przestrzenie stepu i pola uprawne i wiatrem pochylone drzewa i ferma w Penmur. Ujrawszy dach znajomy i pęk rozchodnika nad drzwiami, pomyślała: „Nie mam już na świecie własnego domu i żyć będę u innych“.

Tobołek, który teraz z sobą nosła, większy był od tego, z którym wyszła. W miejscu, gdzie na samym skraju stepu rosły krzewy ciernia i jałowca, przystanąła chwilę, rozwiązując sznurek zawiniątka. Wyjęła dwa prześcieradła, rozwiesiła na znajomych jej dobrze krzakach, poczem skierowała się wierzbami wysadzaną dróżką do fermy. Spotkała tu Martę z dzieckiem na ręku, która powracając powitała serdeczniej niż kiedykolwiek, długo trzymając ją w objęciach, bez słów wyrażając serce współczujące. Anna zaś patrząc jej w oczy, rzekła pokornie:

— Czy pamiętasz, Marto, że kiedy zmarły mój ojciec po raz ostatni przyszedł mnie odwiedzić, suszyła ciotka po praniu dwa prześcieradła tam na krzewach?

Podniesieniem głowy, zwróconej w stronę stepu, wskazała miejsce.

— Idź po nie i przynieś do domu — miały już czas wyschnąć...

Potem weszła w podwórze, gdzie powitała ją ciotka i dzieci, tulące się do niej i piszczące z radości; nie były jeszcze w tym wieku, gdy nam litość i współczucie nie pozwala własnego odczuwać szczęścia...

Zjawił się też niebawem zwabiony wrzawą Jan. Zaprowadził żonę i bratankę do niezajętej podczas dnia izby chłopców i spytał:

— No i cóż? Czy brat mówił co przed śmiercią?

W spojrzeniu jego malował się żal do zmarłego, gniew i złość na Andrzeja. Matka z dłońmi splecionymi oczekiwała słów, które jej sprawią ból. Lecz łatwo było zgadnąć, że i ona gotowa stanąć do walki o syna. Z ust Anny paść miał wyrok rozsądający. Ona spokojna była i opanowana. Odpowiedziała:

— Owszem, radziłam się ojca.

— I cóż? Czy mnie przyznał słusność, czy ciotce? Co powiedział?

— Przyznał słusność ciotce. Powiedział: — Nie waż się iść przeciwko woli Bożej.

Nastąpiła cisza. Pierwsza odezwała się matka, mówiąc:

— Spodziewałam się tego! Był to człowiek grzeszny, jak my, lecz biło w nim chrześcijańskie serce.

Jan ścisnął mocniej trzymane w ręku biczyśko.

— Twój to był pomysł, Marjo, aby pytać o zdanie mego brata. Zgodziłem się dla świętego spokoju. Ale jego zdanie było i jest dla mnie niczem. Jakem myślał, tak też i myślę: Com raz powiedział, to teraz potwierdzam.

Kobieta rozplotła dłonie, szukając w kieszeni.

— Byłabym zapomniała! Jest list od Andrzeja.

— Kiedy przyszedł?

— Listonosz przyniósł, jak byłeś po wapno. Masz!

Otworzyła rozpieczętowany już list, rozłożyła papier, udając, że czyta, lecz ten list swego dziecka umiała napaamięć.

— Przyjeżdża jutro na urlop pospieszonym do Questembert.

— O której przychodzi pociąg?

— O wpół do dziesiątej.

— Pojedzie po niego Józef.

— Nie pojedziesz ty sam, Janie? Nie ty sam? O, mój Boże, gdybym to ja jeszcze mogła powozić!...

Odwrócił się ku wyjściu:

— Pojedzie po niego Józef: taka moja wola. Liczę się ze swoim zdaniem, a nie ze zdaniem mego brata.

Zostawił obie kobiety same. Słyszały odgłos jego ciężkich kroków w izbie sąsiedniej, gdzie dzieci usuwały mu się z drogi. Po chwili usłyszały wołanie:

— Rudy! Bury! Wio!

A w parę minut później, gdy zaprząg wołów za podwórzem skrócić miał na lewo:

— Odsieb!

Wtenczas Marja Maguern spojrzała na dziewczynę, która stała w miejscu bez ruchu. Jutro zatem wrócić miał jej syn, aby w domu zastać rozłam: opór ojca, który się nie zmieni i tę Annę biedną, podwójnie nieszczęśliwą, która teraz, gdy jedynym jej świadkiem była stara ciotka, nie kryła się z męką swą i bólem. Nie płakała jednak.

— Co to za siła woli — pomyślała starsza kobieta, w cierpieniu doświadczona.

A w chwili, gdy tak myślała, podeszła do niej tuż blisko ta dziewczyna wielkiego serca i patrząc jej w oczy, prosiła:

— Ciotko, trzeba mi będzie uszyć sobie coś do żałoby...

— Oczywiście.

— Jeśli ciotka pozwoli, to jutro zaraz od rana pójdę do naszej szwaczki do Muzillac i będziemy szyć razem? Wróciłabym dopiero wieczorem.

Marja Maguern przyciągnęła ją do siebie i tuląc mocno do serca, szepnęła cichutko:

— Szlachetnie to i zacnie z twojej strony.

List Andrzeja wciąż jeszcze trzymała w ręku. Rozłożyła go ponownie i do dała:

— Długo z nami nie zostanie: pi-sze, że wyjedzie zaraz jutro wieczorem.

— Tak prędko? Dlaczego?

— Jeśli mam być szczerą to myślę, że to ze względu na ciebie. Ale wszak to nie wpływa na zmianę twego projektu? Wolisz go nie widzieć?

Anna rzuciła odpowiedź, której tamta w pierwszej chwili nie zrozumiała:

— Nie chcę przedewszystkiem, aby on mnie zobaczył.

Zamieniły z sobą długie i serdeczne spojrzenie.

— Oto chrześcijanka!

Wyszły z izdebki, udając się każda do swych zwykłych zajęć.

XI.

Wyrzeczenie się

Ciężki był ów dzień powrotu Andrzeja do rodzinnej fermy. Pierwszy raz dopiero od wyjazdu swego na front przybywał do domu. Innych żołnierzy z okolicy widywano od czasu do czasu, gdy przyjeżdżali na urlop i otoczeni gromem rodziny i przyjaciół, opowiadali o życiu w okopach, więcej niż o walkach, gdy dumni, że każdy zwraca na nich uwagę, kręcili się chętnie po drogach i oberżach. Andrzej do tych nie należał. Kapitan jego sam go raz zagadnął:

— No cóż, Maguern, nie prosisz o urlop?

— Może później, panie kapitanie...

Teraz o urlop ten poprosił i uzyskał go z łatwością. Wsiadł do pociągu, wiozącego również na urlop pełno żołnierzy i oficerów.

(Ciąg dalszy nastąpi)

SMUKŁA



L I N J A



NIE KAŻDEMU
JEST DANA

lecz każdy
może sta-
rać się ją
osiągnąć:

przez ograniczenie poży-
wienia — zwłaszcza tłuszczów
i węglowodanów;

przez usunięcie z orga-
nizmu nadmiaru wody dro-
gą rozsądnego odżywiania
(mało soli, wiele owoców, jarzyn,
sałaty), drogą pocenia się i t. d.;

przez podwyższenie pracy mięśni to jest przez cwi-
czenia cielesne, masaż i t. d.

przez żywszą przemianę materji przy pomocy wyciągów
z gruczołów tarczycowych — stosowanych jedynie za pozwole-
niem lekarza. — Należy jednak pamiętać, że:

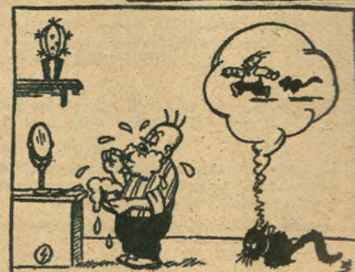
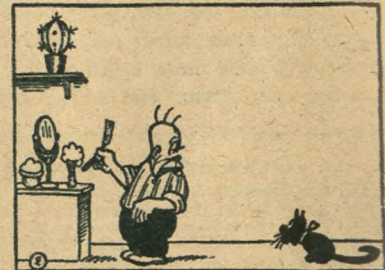
**Gwałtowny, szybki ubytek tuszy zagra-
żać może życiu!!!**



W składnicach portowych New-Yorku wybuchł groźny pożar. Niebawem wiele budynków stało w ogniu. Dopiero nadludzkie wysiłki całej straży pożarnej olbrzymiego miasta stłumiły ogień, w którym spłonęło 70 ludzi. (Times.)

W braku paska do brzytwy.

1. Stępiona brzytwa
Fatalnie goli,
Za włos — drapie,
A pod włos — boli.
2. Ach! gdyby pasek —
Ostrze wygładzić!
Możebyś, pieśku,
Mógł co poradzić?
3. Bravo! Azorku!
Pasek wyborny!
Dawaj ogonek,
Nie bądź oporny!
4. Już! Teraz góra
Mydła na twarzy;
Lecz Azor wściekły
O zemście marzy.



Cały świat podziwia odwagę i śmiałość młodego Amerykanina, Ross Allena, który zaopatrzony jedynie w zwykły nóż, rzuca się na krwiożercze aligatory i toczy z nimi pod wodą zwycięskie, jak dotychczas walki (Times.)

Obok: Tak oto wygląda w swym stroju koronacyjnym król angielski, który niedawno obchodził 25-letnie swych rządów. (K. I. Z.)